

Wspomnienia ze szkół **spod różnych szerokości geograficznych**

Podróżowanie na własną rękę ma tę zaletę, że pozwala swobodnie przyglądać się zróżnicowanym aspektom życia autochtonicznych społeczności. Jednym z takich aspektów są szkoły. W niniejszym numerze naszego czasopisma przeniosę moją opowieść w miejsca, gdzie między szkolnymi ławami zasiadają dzieci i młodzież o różnych kolorach skóry, wyznaniach i różnym stopniu zamożności rodziców – niestety często żyjących w ubóstwie.

Pierwszą zagraniczną szkołą, do której miałem okazję zawiatać, była placówka dla chłopców w mieście Dengfeng (w prowincji Henan), w okolicach Klasztoru Szaolin. Po wejściu na teren szkoły, w której nauczano sztuk walki, moim oczom ukazało się kilkuset chłopców wykonujących ćwiczenia fizyczne i walczących między sobą. Doskonallili swoją sprawność na betonowym podwórzu przed budynkiem szkoły oraz na piaskowych boiskach. Z opowieści przewodnika dowiedziałem się, że uczniowie mieszkają w internatach i tylko raz lub dwa razy w roku odwiedzają swoje rodzinne domy. Przewodnik zaznaczył, że w Państwie Środka marzeniem wielu rodziców jest przyjęcie ich potomków do tej właśnie szkoły – miejsca, w którym codziennie przez wiele godzin muszą wykonywać katorżnicze ćwiczenia pod okiem surowych mistrzów. W szkole uczy się kilka tysięcy uczniów. Mijając budynki, można było zobaczyć na kilku kondygnacjach wystające znad parapetów liczne małe, krótko ogolone główki, z zainteresowaniem zerkające na przybyśków z Europy.

Wizyty w afrykańskich szkołach zawsze wywoływały u mnie silne emocje – szkołach bardzo skromnych, jednak z niezwykle żywą, ciekawą światą działyw. Szczególnie zapadło mi w pamięci pierwsze spotkanie z afrykańskimi uczniami. Miało ono miejsce w Tanzanii, w jednej z wiosek u podnóża wulkanu Meru. Dzieci pokazywały sale lekcyjne, a następnie oprowadzały po podwórku szkolnym. Przejmujące było obserwowanie przepychanki młodszych dzieci, które chciały złapać białego człowieka za rękę; a zwłaszcza dłoń białej kobiety, gdyż pomalowane paznokcie stanowiły nie lada sensację. Szkoły na Czarnym Łądzie składają się zwykle z kilku sal z obdrapaną lamperią, są budynkami bez szyb i klimatyzacji, których jedyne wyposażenie stanowią obdarte ławki i krzesła, tablica z kredą i kilka plansz na ścianach. Nie ma szatni, świetlic, stołówek, boisk z prawdziwego zdarzenia, bieżącej wody, a toaletami są znajdujące się na zewnątrz latryny.

Tak skromne wyposażenie widziałem m.in. w południowej Ugandzie, gdy wracając z wioski Pigmejów Batwa, podptynęliśmy łodzią do szkoły zlokalizowanej na jednej z wysp jeziora Bunyonyi. Wyposażenie „interdyscyplinarnej” pracowni szkoły średniej stanowiły zaledwie: imitacja szkieletu człowieka, model do pokazywania ludzkich organów i pozostawione w nieładzie jakieś odczynniki w butelkach. Wszystkie przedmioty tonęły w tumanach kurzu.

Najdobitniej swe oblicze szkolna bieda objawiła jednak na Madagaskarze, gdzie w wielu wioskach nie było szkół, a często te, które się zdarzały, bardziej przypominały szałas niż placówki oświatowe. Z kolei z podwórek szkolnych chętniej korzystały pasące się kozy, niż mali Malgaszczycy. To tam dowiedziałem się, że dzieci często nie chodzą do szkoły, gdyż rodziców nie stać na zakup podstawowych przyborów szkolnych (o wartości 2 tys. ariarów, co w przeliczeniu na naszą walutę wynosi zaledwie ok. 2 zł).

Ograniczenia finansowe to nie jedyna przyczyna absencji na szkolnych lekcjach afrykańskich basatyków. Często taką przyczynę stanowi konieczność pomagania dorosłym w ich obowiązkach – np. wypasaniu kóz (m.in. u Masajów zamieszkujących Kenię i Północną Tanzanię, u których przywilej wypasania krów – ze względu na duży szacunek okazywany tym zwierzętom – zarezerwowany jest tylko dla dorosłych mężczyzn), noszeniu ciężkich kanistrów z wodą pitną (często z odległych o wiele kilometrów studni, co można zaobserwować np. w Rwandzie) czy dźwiganiu dopiero co wypalonych cegieł lub kamieni z rozłupanych głazów (w ten sposób dzieci pomagają rodzicom na Madagaskarze). W moich reminiscencjach z Czerwonej Wyspy znajduje się jeszcze jeden przykry obraz szkolnej biedы – wzajemne iskanie się dzieci i młodzieży szkolnej w poszukiwaniu wszy.

Wspomnienia z afrykańskich szkół dopełniają obrazy z północno-wschodniej Namibii. Na murach

jednej z podstawówek, do której uczęszczały dzieci należące do ludu San (Buszmenów) zobaczyłem rysunek z napisem We hunt for knowledge (Polujemy na wiedzę). Moim oczom ukazała się również namalowana duża „Czerwona kokardka” – będąca symbolem solidarności z ludźmi żyjącymi z HIV i AIDS – z hasłem Take control (Kontroluj się). Te skromne murale zwracały uwagę na dwa kluczowe dla tubylców problemy związane z ochroną środowiska i zdrowiem mieszkańców. Pierwszy z nich to występujące na szeroką skalę kłusownictwo (niestety naocznie mogłem zobaczyć w Tanzanii dwa słonie zabite dla ciosów); drugi zaś – rozpowszechnianie się zespołu nabytego upośledzenia odporności (choroba ta zbiera największe żniwo w sąsiedniej Botswanie, w której co czwarta osoba, w wieku 15-49 lat, jest nosicielem wirusa HIV).

Istnieją kraje, gdzie sposób i treści nauczania silnie determinuje dominująca religia. Takim państwem są Malediwy, kojarzące się Polakom przede wszystkim z rajskimi wyspami. W tym kraju bycie muzułmaninem jest dla obywateli obowiązkowe, co wynika z konstytucji, a społeczeństwo funkcjonuje według szariatu. Stojąc o poranku w pobliżu malediwijskich szkół, mogłem usłyszeć, jak dzieci (wśród nich dziewczynki w zdecydowanej większości noszące chimary lub hidżaby) zaczynają naukę od głośniejszej modlitwy, a na murach budynków z salami lekcyjnymi zaobserwować rysunki i napisy wzywające uczniów do tego, aby byli żarliwymi wyznawcami islamu. Lokalne wierzenia wpływają także na elementy wyposażenia szkół i ich najbliższe otoczenie. W Bangkoku, przed prestiżowym liceum Triam Udom Suksa School, zauważyłem okazałą kapliczkę dla duchów, udekorowaną figurkami zwierząt i girlandami z kwiatów, z miejscem do wbijania kadzidełek. Takie kapliczki, nazywane Sala Phra Pum, często można spotkać w Tajlandii.

Miałem również okazję odwiedzić szkoły z wyraźnie odciśniętym piętnem obowiązującego ustroju politycznego – w Korei Północnej,

Pracownia biologiczna w ugandyjskiej szkole



Tanzańskie „lobuzy”



W drodze do kenijskiej podstawówki



W Namibii „poluje” się tylko na wiedzę



na Kubie oraz w Kambodży. Pierwszy z tych krajów mogłem zwiedzać tylko z grupą, w ramach wyjazdu zorganizowanego. Jednym z elementów programu zwiedzania, ustalonego i skrupulatnie nadzorowanego przez przedstawicieli rządowej agencji turystycznej, był kampus dla pionierów Songdowon International Children's Camp. Zlokalizowany jest w pobliżu Wõnsan i powstał w latach 60-tych XX w. jako ośrodek wymiany młodzieży z krajów byłego bloku komunistycznego. Kilka lat temu poddano go gruntownej renowacji, a ponowne otwarcie miało miejsce w lipcu 2014 r. Miejsce to odwiedziłem rok po tym wydarzeniu. Zwiedzanie rozpoczęło się na centralnym placu, gdzie po przyjeździe turystów w idealnie równych szeregach ustawilo się kilkuset uczniów. Byli ubrani w różnokolorowe dresy i czerwone chusty. Po chwili dzieci zaczęły zżwawo maszerować wokół dziedzińca, śpiewając piosenki, w których często wymieniano nazwisko Kimów sprawujących od trzech pokoleń władzę nad północną częścią Półwyspu Koreańskiego. W centralnym miejscu placu znajdował się pomnik z brązu, przedstawiający Kim Ir Sena i Kim Dzong Ila w otoczeniu dzieci reprezentujących wszystkie kontynenty. Na tle tego monumentu, zapewne na potrzeby naszej wizyty, ustawiono dzieci do grupowego zdjęcia. We wnętrzach budynków, stworzonych z myślą o uczniach wychowywanych w niezłomnym duchu socjalizmu, przedstawiono przybyszom zza granicy kolorowo pomalowane,

czyste, kompleksowo wyposażone, bez żadnych śladów użytkowania pomieszczenia – pracownie do przeprowadzania zajęć (m.in. nauki gotowania), dormitorium, salę kinową z projekcją 3D. Trafiliśmy również do sali z grami komputerowymi. Znajdowało się tam wiele stanowisk, przy czym dziewczynki grały w bardziej humanitarne gry (np. symulujące jazdę na koniach), niż chłopcy, którzy strzelali z wirtualnych karabinów. Na jednym ze stanowisk znajdowała się symulacja okopów, a grający pionierzy mieli do wyboru kilka rodzajów broni. Zabawa odbywała się pod bacznym wzrokiem uśmiechniętych nauczycielek, które instruowały nawet, jak poprawnie strzelać z karabinu. Po wyjściu na zewnątrz mogliśmy jeszcze podziwiać okazałe boisko piłkarskie, strzelnicę łuczniczą,

basen z kajakami i zjeżdżalnią, a przede wszystkim – robiące nie-małe wrażenie – obiekt z podwodnymi stworzeniami (z akwariami i planszami prezentującymi ryby, żółwie i inne morskie okazy) oraz kompleks z wolierami (w którym znajdowało się kilkanaście ptaków). Kampus zachwycał pod względem infrastruktury udostępnianej uczniom, gdyż takiego wyposażenia nie powstydziliby się żaden z bogatych krajów Zachodu. Z dzieci uczyniono jednak swoistych aktorów, którzy – jak zakładałam – na co dzień nie mogą korzystać z zaprezentowanego wyposażenia. Byłem zatem świadkiem dość osobliwego, utopijnego show.

W Korei Północnej odwiedziłem jeszcze jedno pokazowe miejsce dla turystów – Pałac Dzieci w Pjongjang – uczestnicząc w przedstawieniu składającym się z występów młodych artystów. Dzieci oraz nastolatki ochoczo śpiewali, grali na instrumentach, tańczyli. Wysoki poziom artystyczny świadczył o tym, że poświęcają oni codziennie mnóstwo czasu i wysiłku na doskonalenie swoich umiejętności.

Pisząc o północnokoreańskich uczniach, nie sposób nie wspomnieć o dość osobliwym zjawisku, które w stolicy kraju mogłem kilkakrotnie zaobserwować o poranku. Otóż na ulicach stały grupki młodzieży,

Rozrywka północnokoreańskich uczniów

Ubiór kubański uczennic





Lekcja w kubańskiej szkole



Sala Phra Pum przed liceum w Bangkok



Ćwiczenia w chińskiej szkole kung-fu



W drodze do khmerskiej szkół

ubranych w szkolne mundurki, wymachujące okazałymi flagami, grające na instrumentach dętych i wykrzykujących doniosłe hasła. Celem tej aktywności szkolniaków było zachęcanie ludu pracującego Pjongjang do jeszcze bardziej wyťažonej, owocnej pracy na rzecz kraju i jego przywódców.

Z efektami indoktrynacji ideologicznej uczniów spotkałem się w ubiegłym roku na Kubie. Spacerując ulicami Hawany, zobaczyłem rodzaj happeningu artystycznego, którego obserwatorami były dzieci ze szkół podstawowych, w ładnie skrojonych mundurkach, z dodatkiem – podobnie, jak w Korei Północnej – czerwonych chust. Niektórzy z uczniów trzymali plansze z namalowanymi twarzami postaci ważnych dla historii wyspy. Jedyną, którą byłem w stanie zidentyfikować, była twarz Che Guevary – latynoamerykańskiego rewolucjonisty, budzącego w wielu krajach niezbyt pozytywne emocje, jednak nadal kochanego przez mieszkańców Kuby. Odwiedziłem także jedną z hawańskich podstawówek, ze skromnym – niemal tak, jak w Afryce – wyposażeniem, jednak przyozdobioną zdjęciami braci Castro.

Na Kubie moją uwagę zwróciły oficjalne mundurki dziewczyn ze starszych klas, a w zasadzie długość ich spódniczek, które w istocie były skromnymi mini. W naszym kraju żaden dyrektor szkoły nie zgodziłby się na takie noszenie się uczennic. Kuba ma jednak zdecydowanie bardziej gorący klimat, a przede wszystkim w tym kraju bardziej liberalnie podchodzi się do kwestii obyczajowych (o czym świadczy m.in. wczesny wiek inicjacji seksualnej).

Opisując szkoły z odciśniętym piętnem ustroju politycznego, przeniosę się jeszcze do Kambodży – mimo, iż obiekt z tego kraju, który poniżej przywołuję, już dawno nie jest szkołą i jego korytarze obecnie nie wypełniają już gwarne klasy uczniów. Otóż w Phnom Penh mieści się muzeum Tuol Sleng, będące świadectwem niewyobraźnej martyrologii

Khmerów. To właśnie tam, w budynkach szkoły średniej, Czerwoni Khmerzy urządzili w 1975 r. objęte złą sławą więzienie i centrum przesłuchań. Zwiedzając to miejsce, można zobaczyć, jak pomieszczenia lekcyjne zmieniono na sale tortur. Dokumentują to liczne zdjęcia, jak również pozostałości sadystycznego wyposażenia. O miejscu kaźni świadczy jeszcze widoczna gdzieśgdzie krew na posadzce. Przebywając w tej dawnej szkole, widzi się obrazy, których nie zapomni się już do końca życia.

Szkoły na innych kontynentach często odbiegają swoim wyglądem i wyposażeniem od tego, jak placówki oświatowe postrzegamy w Europie. W Afryce, Azji, Ameryce Łacińskiej z reguły są to skromne budynki wyposażone tylko w podstawowe meble, tablice i plansze. Łazienki dla uczniów z bieżącą wodą należą do rzadkości. W tym kontekście o aspiracjach i marzeniach lokalnych społeczności świadczy chociażby rwandyjski banknot o nominale 500 franków, na którym widnieje grupka uczniów siedzących przed laptopami. W wielu krajach dzieci noszą jednakowe mundurki. Na przykład w Kenii czy Tanzanii ubiór uczniów stanowią kolorowe sweterki – każda szkoła posiada je w innym kolorze. I mimo tego, że większość dróg na Czarnym Lądzie jest

niewyafaltowanych i dzieciom w drodze do szkoły towarzyszą niesamowite tumany kurzu, mamy dbają o to, aby ubranka szkolne zawsze były czyste. Także podróż do szkoły odbiega od naszych europejskich standardów. Nie ma gimbusów. Uczniowie w Afryce często pokonują pieszo kilkanaście kilometrów, aby dotrzeć do swojej sali lekcyjnej. W niektórych miejscach rodzice muszą do szkoły podpłynąć z dziećmi łodzią – tak, jak ma to miejsce m.in. u mieszkańców wodnych wiosek na rzece Sangke w Kambodży, czy na Kampong Ayer w brunejskiej stolicy Bandar Seri Begawan. I wreszcie w wielu miejscach globu codzienne chodzenie do szkoły nie jest powszechne – uniemożliwia to bowiem bieda lub nakaz pomagania rodzicom w obowiązkach domowych.

Dzisiejsza „podróż” pokazała, że pod innymi szerokościami geograficznymi szkoły miewają odmienne oblicza od realiów, jakie znają nasze polskie dzieci. Wszędzie tylko uczniowie są tacy sami – spon-taniczni, uśmiechnięci i rozbiegani, chcący się bawić, mniej lub bardziej skorzy do nauki, z oczami ciekawymi przybyszów z odległych krajów.

prof. UEK dr hab. **Marcin Gębarowski**
Katedra Zarządzania Procesowego

Uczniowie z kubańskiej szkoły

